

PIOTR JAKUB KAR CZ

Lalka bez głowy



PIOTR
JAKUB
KARCZ

**LALKA
BEZ
GŁOWY**

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz

ISBN ebook: 978-83-8166-522-3

ISBN druk: 978-83-8166-523-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II Rozszerzone 2026

Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

*Niniejszą książkę dedykuję Kasi Grabarskiej,
która podobnie jak Anja pojawiła się
znikąd i została moim diabłem stróżem*

Rozdział pierwszy

**strach przegrywa z ciekawością * nocny koszmar
* bezsenna noc * lotnisko w Belgradzie * krew na
asfalcie * wiatr, który szeptał**

Pięciolatka obudziła się w ciemnym pokoju. Przez matową szybę w drzwiach sączyła się cienka smuga światła. W jej blasku szafa z uchylonymi drzwiczkami i stolik z pluszakami rzuciły długie, koślawe cienie, które pełzały po ścianach. Powietrze było ciężkie, nasycone wilgocią i zapachem piwnicy.

Dotknęła zimnej klamki. Drzwi otworzyły się z przeciągłym zgrzytem, a z korytarza powiało chłodem. Podłoga głośno skrzy-piała pod bosymi stopami. Przeszła pod migoczącą żarówką. Na końcu korytarza zobaczyła bladą plamę na podłodze. Zatrzymała się. Światło nad jej głową zadrżało i na moment wszystko stało się wyraźne: to była lalka.

Leżała na plecach w wyblakłej sukience, z rękami szeroko rozłożonymi. Nie miała głowy – tylko postrzępiony kikut szyi. Obok ciągnęła się ciemna, wilgotna smuga.

Dziewczynka zrobiła krok do przodu.

I wtedy lalka poruszyła palcami.

Pięciolatka cofnęła się gwałtownie, potykając o dywanik. Próbowwała uciec. Nie mogła ruszyć nogami. Przez uchylone okno wdarł się wiatr – zimny, natarczywy – szepcząc coś niezrozumiałego, jak ostrzeżenie.

Krzyk wypełnił korytarz, odbił się od ścian i urwał nagle – zduszony w pół dźwięku.

*

Sesimbra, Portugalia, 6 lipca 2021

Carolina obudziła się z krzykiem. Wilgotne, czerwone pasma włosów lepiły się jej do skroni. Serce waliło jej w piersi nierówno, za szybko, a prześcieradło zaplątane wokół nóg świadczyło o nocnej walce, której nie pamiętała.

Ten sam koszmar. Znowu.

Zamknęła oczy, ale obrazy wypalone pod powiekami nie chciały zniknąć: ciemny korytarz, migocząca żarówka, lalka na podłodze. Krew. Przez kilka sekund walczyła o oddech – miała wrażenie, że w jej płucach nadal tkwi stęchłe powietrze z tamtego miejsca.

Usiadła, opierając się o zagłówek. Ciało wciąż drżało.

Zegar na nocnej szafce pokazywał 5:11. Za wcześnie na pobudkę. Za późno, żeby wrócić do snu. Po takich nocach już nie wracała do łóżka.

Wstała. Bosymi stopami przeszła przez niewielki salon wynajętego mieszkania. Podłoga była chłodna – realna. Przypominała jej, że jest tutaj, w Sesimbrze, a nie w tamtym przeklętym korytarzu.

W kuchni zapaliła światło i odruchowo sięgnęła po kapsułkę z kawą. Ręce wciąż drżały – porcelana cicho dzwoniła, gdy wyciągała filiżankę i spodek z szafki.

Automat zasyczał. Zapach espresso wypełnił małe pomieszczenie. Carolina oparła się o blat. Liczyła oddechy. Jeden, dwa, trzy. Do dziesięciu. Potem od nowa.

Pobudka, kawa, oddychanie. Każdego ranka od... ilu już lat?

Ekspres zakończył pracę cichym kliknięciem. Carolina wzięła filiżankę i wyszła na taras.

Noc ustępowała powoli. Na horyzoncie widać było pierwszą smugę świtu – bladą i chłodną. Ocean przed nią był spokojny, niemal czarny. Za godzinę stanie się błękitny. Za dwie będzie pełen turystów.

Teraz należał tylko do niej.

Usiadła na plastikowym krześle. Wypiła łyk gorzkiej kawy. Czekwała, aż adrenalina opadnie, aż serce zwolni.

Sesimbra była dobrym wyborem. Daleko od Lizbony. Daleko od wspomnień. Mała, spokojna miejscowość na wybrzeżu, gdzie nikt jej nie znał i nikt nie pytał o przeszłość.

Carolina spojrzała na swoje dłonie. Szczupłe, blade, z wypielęgnowanymi paznokciami. Ręce dwudziestosiedmiolatki, która powinna mieć zwyczajne życie. Pracę, do której chodzi z przyjemnością. Rodzinę czekającą wieczorem. Przyjaciół, z którymi można się śmiać do łez.

Zamiast tego miała koszmary i leki. Dużo leków.

I Marię. Psychoterapeutkę, do której jeździła dwa razy w tygodniu. Jediną osobę, z którą Carolina rozmawiała o... tamtym. O lalce. O korytarzu.

I o tym, że nie potrafiła żyć normalnie.

*

Belgrad, Serbia, noc z 5 na 6 lipca 2021

Zemun nigdy nie spał. Stara portowa dzielnica Belgradu tętniła życiem nawet po północy. Zewsząd dochodziły głosy

z restauracji oraz śmiech turystów wracających z Kalemegdanu. Dunaj miarowo uderzał o kamienne nabrzeża, ale w małym domku przy ulicy Cara Dušana, ukrytym między przedwojennymi kamienicami o złuszczonych fasadach, panowała cisza tak gęsta, że nie dało się zasnąć.

Marko Mikulić leżał na wznak, wpatrzony w sufit sypialni. Nad łóżkiem kołysał się cień wentylatora – starego modelu, który obracał się z jednostajnym skrzypieniem. W pokoju było duszno. Lipcowa noc nie przynosiła ulgi.

Wiedział, że nie zaśnie. Nigdy nie zasypiał przed lotem.

Przewrócił się na bok. Potem na drugi. Poduszka była za twarda. Prześcieradło – za szorstkie. A może po prostu jego umysł zbyt głośno krzyczał, żeby ciało mogło odpocząć.

Andjela poruszyła się obok niego. Była prawie nieprzytomna – wypila przed snem cztery kieliszki rakiji, jak zwykle, gdy wiedziała, że rano on wyjeżdża. Alkohol pomagał jej znieść osamotnienie. Albo przynajmniej udawać, że je znosi.

– Znowu lecisz z tą czarodziejką – mruknęła, nie otwierając oczu. – Z tą kurwą!

Jej głos był ciężki, leniwy, ale jad w słowach był ostry jak brzytwa.

Marko westchnął. Nie po raz pierwszy tej nocy. Nie po raz pierwszy w tym miesiącu.

– Nie mów tak o niej – odparł cicho, bez emocji.

Andjela otworzyła jedno oko. Spojrzała na niego przez mgłę alkoholu i urazy.

– A właśnie, że będę mówić, co zechcę! – Podniosła się na łokciu, włosy opadały jej na twarz. – Kurwa!

Marko patrzył w sufit. Liczył sekundy między kolejnymi obrotami wentylatora. Raz, dwa, trzy...

– Dobrze – powiedział w końcu, wciąż spokojnie. – Zostanę jutro w domu. A ty zarobisz na kredyt. Spłacisz dom. I swojego Chevroleta.

Cisza.

Andjela zacisnęła usta. Chciała coś powiedzieć – widział to w jej oczach. Ale wiedziała, że przegrała. Jak zawsze.

Odwróciła się gwałtownie, plecami do niego i wtuliła twarz w poduszkę.

Marko słyszał jej oddech. Ciężki, nieregularny. Wiedział, że płacze, ale nie cicho, tylko demonstracyjnie. Odwrócił się do ściany.

Przewrócił się na drugi bok i zamknął oczy. Został sam na sam z hukiem silników w głowie i uczuciem spadania. Nawet nie próbował zasnąć. Czekał tylko na świt.

*

Lotnisko im. Nikoli Tesli, Belgrad, 6 lipca 2021

Następnego ranka, gdy mgła nad Dunajem dopiero zaczynała się podnosić, Marko wysiadł z taksówki przed szklanym terminalem. Powietrze pachniało spalinami. Wyciągnął z bagażnika czarną walizkę, wysunął rączkę i ruszył w stronę wejścia. Kółka turkotały po betonie.

Zatrzymał się przed drzwiami, wypuszczając z płuc ostatni dym papierosa. Niebo nad Belgradem było mlecznobiałe, pozbawione charakteru – ani błękitne, ani szare. Tylko... puste.

Budynek przywitał go chłodem klimatyzacji i zgiełkiem podróżnych. Głosy w kilkunastu językach mieszały się z komunikatami, trzaskiem kółek walizek i piskiem bramek.

Zatrzymał się przy saloniku prasowym. Regały ugięły się od kolorowych magazynów, tabloidów krzyczących o skandalach ludzi, których nie znał i którzy go nie obchodzili. Wyciągnął z lodówki napój energetyczny i zapłacił zblizeniowo zmęczonej kasjerce, która nawet nie podniosła wzroku.

Wypił niemal duszkiem. Kofeinowy kopniak uderzył go w żołądek, ale przynajmniej rozbudził trochę umysł. Zgnieciona puszka wylądowała w koszu, a on ruszył dalej. Przyłożył telefon do czytnika przy bramce i przeszedł w stronę kontroli bezpieczeństwa.

Kolejka nie była długa: cztery, może pięć osób. Turyści, biznesmeni, ktoś z dyplomatyczną torbą. Marko czekał cierpliwie, wpatrzony w ruch taśmy skanera.

Gdy nadeszła jego kolej, wyjął wszystkie metalowe przedmioty i elektronikę: klucze, monety, telefon, słuchawki. Potem tablet i na końcu – laptopa.

Osiemnastocalowy Dell Precision. Gruby jak cegła, ciężki niczym średniowieczna zbroja.

– Nie potrzebuje pan hantli na wyjeździe, co? – skomentowała młoda pracowniczka, unosząc brew, gdy laptop wylądował w plastikowej kuwecie.

– Pamiątka po tacie – odparł krótko, jakby spodziewał się tego typu reakcji. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Zabrał rzeczy i ruszył w stronę swojej bramki. Znalazł miejsce z dala od głównego tłumu – plastikowe krzesło przy

oknie z widokiem na płytę lotniska. Samoloty kołowały powoli. Słychać było ryk silników i szum wiatru.

Marko usiadł i wpatrywał się w betonową przestrzeń za szybą. Pozwalał myślom płynąć. Dom. Andjela. Lot. Lizbona.

– Bezsenna noc, Wąsik? – usłyszał nagle melodyjny, lekko kpiący głos, tak bliski, że przeszył go dreszcz.

Odwrócił się. Stała tuż obok – Anja. Uśmiechnięta i pewna siebie do granic bezczelności. Szczupła szatynka o pełnych ustach i oczach, które były o krok przed innymi. Zbyt piękna, zbyt zgrabna, by Andjela kiedykolwiek mogła spać spokojnie.

– Nie było tak źle – skłamał, choć wiedział, że ona czyta w nim jak w otwartej książce.

Anja parsknęła śmiechem. Usiadła obok niego, rzucając podróżną torbę na sąsiednie krzesło.

– Andjela znowu nie chciała cię puścić? – zapytała z tym swoim ironicznym błyskiem w oku. Gdy się uśmiechała, jej policzki uroczo się zaokrąślały, odsłaniając lekko wystające jedyneki. Miała na sobie jasnoniebieskie, obcisłe dżinsy, szarą koszulę spiętą kremowym paskiem i jasne tenisówki.

– Dzwoniłaś do spedytora? – zmienił temat, unikając jej wzroku.

– Wysłałam SMS-a. Przed chwilą odpisał: samochód jeszcze nie dotarł, ale jutro na sto procent będzie na miejscu.

– Oby.

Zapadła krótka cisza. Żadne z nich nie próbowało jej przerwać.

Gdy otwarto bramkę z napisem „Lizbona”, podeszli razem do kolejki dla klasy executive. Kontrola paszportu Marko trwała kilka sekund. U Anji – dłużej.

– „Anja Spasojević” – przeczytał na głos dwudziestokilkuletni pracownik o błękitnych oczach i nieśmiałym uśmiechu.

– Tak? – odparła, unosząc brew, jakby jej nazwisko wymówione na głos było komplementem.

– Skądś panią znam – powiedział, rumieniąc się lekko.

– To możliwe. Jestem dość popularna.

– Aktorka?

– Nie. Zawodowo oszukuję ludzi i mi za to płacą. – Jej oczy zabłyśły figlarnie. – Też można się przy tym dobrze bawić.

Młody mężczyzna na moment oniemiał, zmieszany tą jawnością, która rozbroiła jego rutynę. Zawahał się, prawdopodobnie ważąc w myślach pytanie o kontakt na Facebooku lub numer telefonu. Wahanie to trwało o ułamek sekundy za długo. Gdy podniósł wzrok, Anja była już jedynie zgrabnym cieniem znikającym w mroku korytarza do strefy odlotów, zostawiając tylko lekki zapach cytrusów i gorycz niespełnionej ciekawości.

*

Sesimbra, 6 lipca 2021

Poranne słońce rozgrzewało asfalt Avenida dos Combatentes. Sonia Almeida da Silva prowadziła srebrną Toyotę w strumieniu samochodów, który włókł się leniwie, jakby całe miasteczko postanowiło tego ranka nigdzie się nie spieszyć. Była spóźniona – znowu – a do biura zostało jej jeszcze co najmniej kilkanaście minut jazdy. Ciepły, słony wiatr wpadał przez uchylone okno, bawiąc się jej długimi, czarnymi włosami.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał 8:47. Przeklęła pod nosem. Telefon leżący na siedzeniu pasażera zawibrował.

Filipe. Mąż.

Jedną ręką trzymała kierownicę, drugą odblokowała ekran. Przewinęła. Przeczytała: „Znowu wrócisz późno?”

Ton był oskarżycielski. Jak zawsze. Nawet w SMS-ie brzmiał jak wyrzut.

Zacisnęła zęby. Palce zawisły nad ekranem. Zaczęła pisać odpowiedź – coś ostrego, coś, co od dawna chciała mu powiedzieć – gdy ruch przed nią zwolnił.

Uniosła wzrok.

Tuż przed maską stał masywny mężczyzna. Zbyt blisko.

Wcisnęła hamulec.

Opony zapisały przeraźliwie. Dźwięk rozdarł powietrze. Samochód szarpnęła. Telefon wypadł jej z ręki i wyładował pod fotelem. Pas bezpieczeństwa wbił się w klatkę piersiową.

Uderzenie było głucho, mięsiste. Mężczyzna uderzył w maskę, przetoczył się przez nią i bezwładnie runął na asfalt.

Stała już obok samochodu, a kolana dygotały jej tak mocno, że ledwo utrzymywały ciężar ciała.

– Nic się panu nie stało? – wykrzyknęła łamiącym się głosem, podbiegając do leżącego. – Czy pan żyje?

Nie odpowiadał. Oczy miał zamknięte, twarz bladą. Z kącika ust sączyła mu się cienka strużka krwi.

W kilka sekund wokół miejsca wypadku zebrał się tłum: gapie, kierowcy wysiadający z zatrzymanych samochodów, turyści z pobliskich pensjonatów. Czuła na sobie spojrzenia – ciekawskie, oskarżające. Niektórzy nie ruszyli się

nawet o krok, by pomóc. Zamiast tego wyciągali telefony. Obiektywy patrzyły na nią bezlitośnie, jak martwe oczy. Słyszała ciche komentarze, ktoś relacjonował zdarzenie na żywo.

W jej głowie dudniło jedno: *Zabiłaś go!*

*

Kilka pięter wyżej, na tarasie apartamentu z widokiem na zatokę, Carolina dopijała espresso. Gorzki, ciemny płyn był jej porannym rytuałem – kotwicą w morzu niepokoju. Słońce migotało na powierzchni oceanu, rozpryskując się na miliony lśniących, ruchomych płytek.

Nagle pisk opon wbił się w tę ciszę jak nóż. Ostry, przedzierający się przez szum fal i daleki gwar plaży. Carolina drgnęła. Odruchowo spojrzała w dół, w stronę alei, która wiła się jak blizna u podnóża klifu.

Zobaczyła coś, co zupełnie nie pasowało do tego poranka. Srebrny samochód stał nieruchomo, a za nim ciągnęły się ciemne ślady hamowania. Przed maską – ciało. Obok klęczała kobieta o czarnych włosach, poruszająca się w zwolnionym tempie, jak w złym śnie.

Drzenie zaczęło się od środka, od splotu słonecznego, i rozlało się po całym ciele zimnym, niekontrolowanym dreszczem. Filizanka wysunęła się z bezwładnych palców. Spadła na terakotową posadzkę tarasu i rozbiła się z brzękiem. Brązowe plamy kawy rozbryzgnęły się jak krew.

Carolina nie patrzyła na szkło. Jej wzrok był pusty, skierowany do wewnątrz. Ręce, teraz zdradziecko drżące,

odruchowo sięgnęły po małe, plastikowe pudełko. Otwarcie zatrzasku wymagało wysiłku, jakby walczyła z sejfem.

Wyjęła dwie białe pastylki – małe, niewinne obietnice spokoju. Wrzuciła je do ust i przełknęła na sucho. Gardło miała ściśnięte tak mocno, że zabolalo.

Przymknęła oczy, licząc w myślach. *Raz. Dwa. Trzy.* Ludziła się, że chemiczny spokój zaleje ją natychmiast jak fala, zmywając obraz z dołu. Ale ulga nie przyszła.

Wtedy usłyszała. Nie krzyki z dołu, nie syreny. Usłyszała wiatr.

Ten sam ciepły, poranny wiatr, który jeszcze chwilę temu pieścił jej twarz. Teraz, wpadając przez otwarte drzwi balkonowe, niósł ze sobą coś więcej. Szept. Niewyraźny, składający się z szumu, furkotu i dalekich ech, jak głosy zza grubej szyby. To był ten sam szept, który znała z najgłębszych zakamarków swojego umysłu.

Otworzyła oczy. Widok rozbitej filiżanki, płam kawy i wypelzającego z dołu chaosu zlał się w jedno. A wiatr szeptał...



Punkt widokowy Portas do Sol



Lizbona z lotu ptaka w czasie nawałnicy

Spis treści

Rozdział pierwszy	5
Rozdział drugi	16
Rozdział trzeci	31
Rozdział czwarty	46
Rozdział piąty	59
Rozdział szósty	76
Rozdział siódmy	83
Rozdział ósmy	103
Rozdział dziewiąty	123
Rozdział dziesiąty	145
Rozdział jedenasty	169
Rozdział dwunasty	196
Rozdział trzynasty	209
Rozdział czternasty	234
Rozdział piętnasty	253
Rozdział szesnasty	271
Rozdział siedemnasty	287
Rozdział osiemnasty	316
Rozdział dziewiętnasty	343
Rozdział dwudziesty	364
Rozdział dwudziesty pierwszy	378
Rozdział dwudziesty drugi	389
Rozdział dwudziesty trzeci	403
Rozdział dwudziesty czwarty	436
Epilog	448
Od autora	465
Galeria zdjęć	468